

SIERRA SIMONE

SALT KISS

On łamie zasady.
Ty tracisz kontrolę.

LYONESSE



SIERRA SIMONE

SALT
KISS

LYONESSE

PRZEŁOŻYŁA
Urszula Musyl



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Salt Kiss. Lyonesse #1

Redaktorka prowadząca: Ewelina Kapelewska

Wydawczyni: Olga Gorczyca-Popławska

Redakcja: Justyna Yiğitler

Korekta: Katarzyna Sarna

Projekt okładki: Wojciech Bryda

Zdjęcie na okładce: © marinavorona / Stock.Adobe.com

Wyklejka: © marinavorona / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2023 by Sierra Simone

Published by agreement with Folio Literary Management, LLC and Graal Sp. z o.o.

Copyright © 2025 for the Polish edition by Papierowe Serca an imprint
of Wydawnictwo Kobiecte Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Urszula Musyl, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie
i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź
fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody
posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2025

ISBN 978-83-8417-287-2

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | www.WydawnictwoKobiecte.pl



1

NA PAPIERZE JUŻ JESTEM IDEALNYM KANDYDATEM NA TO STANOWISKO.

Wstąpiłem do West Point w wieku siedemnastu lat, a przez następnych osiem służyłem w armii. Pracowałem w środowiskach dyplomatycznych i strefach wojny, a mój ostatni pobyt w Karpacii spędziłem na ochronie nowego prezydenta i uwielbianej byłej pierwszej damy, Lenki Kocur, przed atakami rebeliantów. W pudełku w mojej komodzie, obok symbolu męstwa i kilku metalowych odznaczeń w kształcie liści dębu, znajduje się Krzyż Wybitnej Służby. Jestem przeszkolony w zakresie oceny ryzyka, inwigilacji i kontrinwigilacji, walki uzbrojonej i nieuzbrojonej, jazdy defensywnej i zaawansowanej pierwszej pomocy.

Nie mam partnera, nie mam kochanki – tylko garstkę przyjaciół, którzy nie wiedzą już, jak ze mną rozmawiać.

Nie mam pracy. Żadnego celu.

Żadnego sensu.

W mailu podano mi adres, krótki i prosty, ale kiedy wjeżdżam skromną amerykańską hybrydą ojca na parking, zdaję sobie sprawę,

że miejsce docelowe znajduje się na wyspie na Potomaku. Parkuję i wysiadam z samochodu. Jedną ręką zapinając marynarkę, jednocześnie orientuję się w przestrzeni. Jest tam most – wąski, tylko dla pieszych – prowadzący z brzegu do płaskiego kawałka lądu. Na wyspie znajduje się wysoki pięciopiętrowy budynek, którego zewnętrzną elewację pokrywa szkło. Przypomina coś pomiędzy zamkiem a statkiem, z ostro nachylonym dachem i frontem w kształcie dziobu.

Słońce odbija się od szkła, gdy kończę przegląd parkingu – pięć samochodów, z których żaden nie jest na tyle ładny, by należeć do mojego ewentualnego przyszłego pracodawcy, kamery bezpieczeństwa zamontowane na słupach oświetleniowych – a potem idę mostem nad wodą do miejsca, gdzie pracuje mój nowy wuj.

Lyonesse.

Tak nazywa się to miejsce.

Według Wikipedii wyspiarskie królestwo, które zatonoło pod falami. Ultraekskluzywna przystań dla światowej elity grzeszników według internetowych plotek. Wiem, jakich gości rzekomo przyjmuje Mark, i nie dziwi mnie, że to miejsce jest chronione jak twierdza.

Kobieta wita mnie zza niskiego biurka. Podchodzę do niej, przypominając sobie, by się uśmiechnąć, ponieważ od dawna uśmiech nie należał do moich obowiązków. Wydaje mi się, że przed pierwszą misją często się uśmiechałem. Teraz już tego nie pamiętam.

Podchodząc do biurka, zwracam uwagę na istotne szczegóły przestrzeni, wąskie drzwi osadzone w wyłożonej jasnym drewnem ścianie za biurkiem – pierwsze to pewnie coś przyziemnego jak szafa na ubrania, drugie prawdopodobnie łączą się z biurem ochronny lub czymś podobnym – oraz metalowe schody prowadzące do przeszklonego korytarza. Jest też winda i kilka niskich, obitych skórą ławek.

Kobieta byłaby ubrana niemal jak typowa recepcjonistka, gdyby nie lateksowa obroża tuż nad wiązaniem fioletowej bluzki. Zatrzymuję się w pół kroku, a puls nagle przyspiesza. Jej szyja jest długa i smukła, błyszczący lateks opina ją gładko, a ona nosi go tak naturalnie, tak swobodnie. Jakby to było coś zupełnie normalnego.

Może tutaj jest.

– Przyszedłem na rozmowę kwalifikacyjną – mówię, odzyskując równowagę. Nie chodzi tylko o obrożę, ale i o to, że jest ładna, ma miękkie włosy, wysokie policzki i jedwabną bluzkę, która zsuwa się z jej ramion bez oporu, a ja nadal nie przywykłem do niczego jedwabistego, miękkiego i dopasowanego. Wciąż nie jestem przyzwyczajony do pięknych rzeczy, drogich rzeczy, przyjemnych rzeczy.

Karpatia była zimna i błotnista, nasze mundury szorstkie, wszyscy w hełmach i okularach ochronnych, nasz świat skurczył się do brudu, plastiku i metalu. Kiedy w zeszłym tygodniu szedłem do ołtarza, aby dołączyć do mojego ojca na przodzie kaplicy, prawie się przewróciłem od zapachu kadzidła unoszącego się w powietrzu. Na przyjęciu gapiłem się na swój kawałek tortu, jakbym myślał, że to kłamstwo, bajkowe jedzenie mające zwabić śmiertelnika do krainy wrózek i zatrzymać go tam na zawsze.

Jestem zażenowany tym, jak łatwo złamały mnie misje. Nawet gdybym nigdy nie strzelał z broni, nigdy nie drżał na zamarzniętych sosnowych igłach, czekając na strzał, który mnie zabije, i tak zniszczyłaby mnie sama pieprzona monotonia tego wszystkiego. Nuda. Deprywacja.

A oni nazywają mnie bohaterem.

– Oczywiście – odpowiada kobieta, podnosi się i prowadzi mnie do windy w wysokich na półtora kilometra szpilekach. Nie spuszcza z nich wzroku, ale staram się nie gapić.

Wjeżdżamy windą na najwyższe piętro, przechodzimy przez parę oszklonych drzwi do pomieszczenia, które wygląda na poczekalnię.

Jedna ściana jest całkowicie przeszklona, reszta z jasnego drewna. Podłoga to wypolerowany beton. Wszędzie widzę swoje odbicia. I nie poznaję tego wysokiego faceta w garniturze. To niby ja, ale jakbym patrzył na kogoś obcego.

– Może pan wejść. – Kobieta wskazuje uchylone drzwi w jednej z drewnianych ścian. – Gdyby pan czegoś potrzebował, będę w lobby. Nazywam się Lim.

– Dziękuję pani – odpowiadam, a ona uśmiecha się, jakbym powiedział coś zabawnego. Następnie przechodzi przez szklane drzwi, a ja zostaję sam i wchodzę do gabinetu Marka Treveny na rozmowę kwalifikacyjną.

Wyglądam marynarkę i biorę wdech. Mój ojciec nie chciałby, żebym tu był, ale jest w podróży poślubnej i nie może mnie powstrzymać. Moja matka też byłaby przeciwna, gdyby nadal żyła – zanim umarła, była szanowaną mieszkanką przedmieść zasiadającą w radzie miasta i zaangażowaną wolontariuszką na rzecz różnych spraw. Nie chciałaby, aby jej syn splamił swoje ważne medale czymś tak tandetnym jak praca dla właściciela klubu kink.

Szczerze mówiąc, sam nie wiem, co o tym myślę. Kiedy kilka dni temu przyszedł mail od Marka z zaproszeniem na spotkanie w sprawie pracy jako jego ochroniarz, nieomal go usunąłem. Nie wiedziałem o tym facecie zbyt wiele poza tym, co powiedział mi ojciec: że jest mordercą, kłamcą i dewiantem. Nie wspominając o tym, że sama myśl o klubie dla fetyszystów sprawiała, że czułem, jakbym nie mógł oddychać.

Ale nie usunąłem tego maila.

Przeczytałem ponownie. Krążyłem po pustym domu ojca tak samo jak przez ostatnie kilka tygodni – bez celu, głodny, jak cień – i zastanawiałem się, ile jeszcze bezsensownych tygodni mnie czeka. Nie mogłem już znieść służby w armii – ani w wojsku, ani za biurkiem, ani gdzieś pomiędzy – ale bezkształtność cywilnego życia

powoli budziła grozę. Od czasów West Point nie doświadczyłem tak pustych dni bez rutyny, bez dyscypliny, bez struktury.

Potrzebowałem... czegoś. Czegoś więcej niż pracy. Czegoś więcej niż godzin nudy, po których następowało puste nic na koniec dnia. Czegoś więcej niż skompresowana rzeczywistość cywilnego życia z jego małymi okropnościami i jeszcze mniejszymi stawkami. Potrzebowałem czegoś, co pochłonie mój czas i myśli, da mi zajęcie, nada kształt mojemu bezkształtnemu życiu.

I mail od Marka właśnie to wszystko obiecywał. Długie godziny pracy, niewiele autonomii. Będę cieniem z bronią.

Zdecydowałem się na rozmowę. Zawsze mogę odmówić i pewnie to zrobię. Nie interesowali mnie tacy ludzie jak Mark, którzy zabijają bez konfrontacji z wrogiem. Agent. Szpieg. Zabójca. Niektórzy żołnierze im kibicowali, nawet się nimi stawali, ale nie szanowałem nikogo, kto zabija bez uczciwej walki, kto oszukuje, by dostać to, czego chce, nawet jeśli służy temu samemu krajowi, któremu służę ja.

Gdzie w tym lojalność? Jak można ufać komuś nieuczciwemu, nieprzyzwoitemu?

Ale też... jakie to ma teraz znaczenie?

Wiedziałem od ojca, że Mark od lat nie pracuje w CIA. Wiedziałem z internetowych plotek, że Lyonesse było swego rodzaju klubem BDSM. Przeszedł od śmierci do seksu, a Lyonesse należało do niego. Jeśli miał być wobec czegoś lojalny, to właśnie wobec tego świata, który sam stworzył. Potrafiłem to zrozumieć. Może nawet temu... zaufać.

Wciąż z niepewnością przechodzę przez drzwi jego biura, które mieści się dumnie na froncie budynku. Światło słoneczne oświetla przestrzeń – szkło, beton, jasne drewno – z dwoma krzesłami i dużym szklanym biurkiem. Krzesło jest puste, cały gabinet jest pusty, a ja waham się przez chwilę, niepewny, czy powinienem tu poczekać, czy ponownie poszukać pani Lim.

Ale po bliższym przyjrzeniu się pomieszczeniu dostrzegam zarys drzwi w ścianie za mną i korytarz za nimi. Uznaję, że nie mam wiele do stracenia, otwieram je i wchodzę do środka.

Spodziewałem się kolejnego, wewnętrznego biura, ale szybko się zorientowałem, że drzwi, które mijam, wydają się raczej prowadzić do apartamentów. Widzę drewniane podłogi, niskie sofy i regały z książkami. Może Mark tu mieszka. Albo chce, żeby ludzie myśleli, że tu mieszka.

Moją uwagę przykuwają jednak drzwi na końcu korytarza. Są otwarte bez żadnej podpory, jakby zostały zaprojektowane tak, by pozostawać otwarte w razie potrzeby. Schody prowadzą w górę lśniącego słupa wczesnowiosennego słońca. Wchodzę po nich i wychodzę na dach. Na jednym końcu znajduje się połyskujący basen, a na drugim duży parasol przeciwsłoneczny rozciągnięty nad stołem z dwoma krzesłami. Pod nim siedzi Mark Trevena, mój nowy wuj i potencjalny pracodawca.

Wstaje, gdy podchodzę, i wyciąga do mnie rękę.

– Tristanie, miło cię znowu widzieć – wita mnie chłodnym głosem.

– Dzień dobry – mówię, chwytając jego dłoń.

Ma uścisk na tyle mocny, że moje zakończenia nerwowe iskrzą, a po puszczeniu pozostaje dziwne ciepło. Właśnie wtedy nad dachem unosi się bryza, a ja czuję zapach...

Czystej skóry i...

Może deszczu. Świeży deszcz z piorunami w powietrzu.

Zapach uderza mnie mocniej niż lateks i jedwab pani Lim, niż tort na weselu. Jest taki subtelny... a jednak...

Próbuję się otrząsnąć, gdy Mark gestem każe mi usiąść, a następnie wraca na swoje krzesło ze swobodną gracją muskularnego ciała, ale skłonienie umysłu do pracy staje się trudniejsze, a nie łatwiejsze, gdy wreszcie dobrze mu się przyglądam.

Jest wszystkim tym, czego brakowało mi podczas służby.

Jego granatowy garnitur skrojono tak idealnie, że mogę dostrzec zarys potężnych ramion i bicepsów oraz wąską talię. Jego krawat to jedwab, który połyskuje delikatnie, drogo, podczas gdy koszula jest kremowobiała i niemal błaga o to, by ktoś jej dotknął. Duży zegarek, taki, który odbija światło i może cię zabić podczas misji, błyszczy spod rękawa marynarki. Nawet sposób, w jaki podnosi szklanekę z czymś zimnym i przejrzystym, mówi o celebrowaniu chwili luksusu. Zmysłowej przyjemności.

A jego twarz...

Przez chwilę patrzę w dół, na nakryty stół czekający na mnie na dachu, a potem na niego, niemal nie wierząc własnym oczom. Widziałem go już wcześniej, na weselu, wiedziałem już o włosach w kolorze ciemnego blondu i szczęce pokrytej tym samym zmatowiałym złotem. Niebieskie oczy, proste, gęste brwi i mocny nos z subtelną wypukłością, jakby był wcześniej złamany.

Jego usta są szokująco pełne, ale też geometrycznie zarysowane. Hipnotyzujące.

Jestem wdzięczny, gdy ktoś do nas podchodzi: szczupły młody mężczyzna w czarnych spodniach i gorsiecie, z rudymi włosami spiętymi w kucyk. Stawia przed nami sałatki, zostawia pucharki z wodą i pyta, czy życzą sobie coś mocniejszego. Odmawiam. Mark gestem prosi o kolejną porcję tego, co pije, a młody mężczyzna zgrabnie kiwa głową.

Instynktownie biorę widelec – żołnierz je, kiedy może – i zamieram. Nigdy wcześniej nie widziałem takiej sałatki. Zielono-fioletowo-żółta, zaprojektowana tak, by wyglądała jak skrzydła motyla. Dressing ułożono delikatnymi liniami, tworząc czułki wzdłuż wierzchu. Posiekany szczypiorek rozrzucono w łukach, by naśladował powiewy powietrza pochodzące z trzepoczących skrzydeł.

Nie ma potrzeby, aby sałatka była tak piękna, tworzyła tak niesamowicie realistyczny obraz, a kiedy patrzę w górę, przez chwilę wydaje mi się, że rzeczywistość staje się subtelnie nierealna.

To rozmowa kwalifikacyjna w seksklubie z mężczyzną znanym z tego, że ma krew na rękach. Wszystko powinno być tu tandetne, tanie i oblepione brudem. Zamiast tego siedzę w szklanym pawilonie, przede mną rozpościera się widok na stolicę i rzekę, a na stole czeka sałatka bardziej dopracowana niż biżuteria. A mężczyzna naprzeciwno...

Ponowne spojrzenie na niego to błąd. Na ślubie pozostawał postacią w cieniu, tylko raz pojawił się w świetle, by poprowadzić swoją starszą siostrę do ołtarza, do mojego ojca. Byłem jego drużbą i obserwowałem pannę młodą z całą nadzieją, którą tylko byłem w stanie wykrzesać w tamtych dniach. Ten ślub był czymś dobrym. Ale nie czułem już nic dobrego tak, jak powinienem, a w chwili, gdy zobaczyłem Marka w smokingu, z mocną, opaloną szyją nad wyraźnymi liniami kołnierzyka i muszki, z długimi rzęsami okalającymi oczy w kolorze nocy, odwróciłem wzrok, dopóki Blanche nie stanęła przed moim ojcem, a Mark zniknął.

Teraz nie mogę odwrócić wzroku. To rozmowa kwalifikacyjna i muszę się skupić.

Chciałbym tylko nie czuć jego deszczowego zapachu. Chciałbym, żeby sałatka nie była taka piękna. Chciałbym, żeby moje wrażenia co do tego miejsca nie wiązały się ze światłem, wodą, powietrzem. Trudniej będzie mi później odmówić, jeśli zechcę.

– Zapewniam, nie jest zbyt piękna, aby ją zjeść – mówi.

W końcu unoszę na niego wzrok. Słońce bezlitośnie podkreśla jego wyraziste rysy i drobne skazy, które je zaburzają. Ledwo widoczny złocisty zarost, złamany grzbiet nosa z lekkim wybrzuszeniem. Cienka blizna ginąca we włosach.

– Nie spodziewałem się jedzenia – mówię, próbując odzyskać odrobinę normalności. Dziwne, że to właśnie mężczyzna, ładna

sałatka i odległe widoki wytrącają mnie z równowagi. To lata spędzone pod odrapanym brezentem, w zimnym, obcym błocie mnie zniszczyły. – Myślałem, że to rozmowa kwalifikacyjna. Proszę pana.

– Można się wiele o kimś dowiedzieć na podstawie tego, jak je – wyjaśnia, unosząc swój widelec. Bokiem srebrnego zęba naciska na jedno ze skrzydełek motyla, aż rozlega się chrupnięcie. Wypływa z niego coś jaskrawoczerwonego, chyba sos z buraków. – Nauczyłem się tego jako żołnierz.

– Był pan w wojsku? – To mnie zaskakuje. Mój ojciec mówił o Marku tak, jakby opuścił Langley w pełni ukształtowany. Wiem, że czasami żołnierzy rekrutuje się do paramilitarnego oddziału CIA, ale nie przyszło mi do głowy, że Mark mógł być kiedyś jednym z nich.

– Byłem.

– A czym zajmował się pan później? – pytam, chyba żeby coś mu udowodnić. Albo nas oddzielić. Pokazać, że jednak nie jesteśmy tacy sami.

Usta Marka poruszają się tak, jakby potrafił odczytać moje myśli. Prawie się uśmiecha.

– Czymś znacznie gorszym.

Ta szczerość mnie niepokoi. I on sam. Siedzenie naprzeciwko niego przypomina mi przemierzanie karpatańskiego lasu z karabinem gotowym do strzału.

Spuszczam wzrok na talerz, żeby mieć czym się zająć, i sięgam po widelec. Skrzydło motyla łamie się z chrzęstem, gdy je kroję. Biorę kęs i intensywny smak eksploduje na moim języku. Sałatka jest chrupiąca, delikatna i doskonale doprawiona. Jadalne kwiaty są słodkie.

Podnoszę wzrok i widzę, że Mark mi się przygląda.

– A nie mówiłem – mówi z satysfakcją.

– Jest naprawdę dobra – przyznaję.

– Opowiedz mi o swoich obowiązkach w wojsku – zachęca. Odchyła się, sięga po szklankę, ale ani na moment nie odwraca wzroku od mojej twarzy. Obserwuje, jak żuję i przełykam. Przeciagam knykiem po dolnej wardze.

Nagle wydaje mi się, że uczestniczę w czymś innym niż rozmowa kwalifikacyjna, ale nie potrafię powiedzieć dlaczego. Jego twarz jest neutralna, a głos opanowany i uprzejmy.

W końcu to przecież jest rozmowa kwalifikacyjna. Muszę odpowiedzieć, więc odpowiadam. Opowiadam o czterech misjach jak najbardziej obiektywnie, gdzie miały miejsce i jaki był ich cel. Nie wspominam o Medalu Pochwalnym za drugą misję ani o nominacji do Brązowej Gwiazdy po ostatniej. Mark z pewnością to wszystko wie. Zresztą to i tak nie znaczy, że jestem lepszy w tej robocie.

Znaczy tylko, że przeżyłem, podczas gdy inni zginęli.

Nasze sałatki zastępuje zapiekana pierś kaczki i marynowany seker korzeniowy. Obok półksiężyc kremowego purée z pasternaku i ziemniaków – delikatne i kremowe. Najlepsze, co kiedykolwiek jadłem. Do tego podane w szklanym pałacu zbudowanym na rozpuście. Może wszystko smakuje dobrze po tylu miesiącach jedzenia w wojskowych stołówkach, racji żywnościowych w obskurnej bazie, ale nie sądzę, żeby tylko o to chodziło.

Mark cały czas popija, gdy kończę opowiadać mu o swoich obowiązkach i zadaniach. Pije już trzeciego drinka i jest wyjątkowo spokojny. Odnoszę wrażenie, że musi często pić, i zapamiętuję to sobie na przyszłość. Jeśli przyjmę tę pracę, będę musiał znać jego nawyki i stan psychiczny. Łatwiej utrzymać przy życiu trzeźwych ludzi – przekonałem się o tym na własnej skórze podczas służby w eskorcie dyplomatycznej.

Gdy kończę i odkładam widelec, Mark mnie ocenia. A potem odstawia swoją szklankę.

– Powiem krótko. Jesteś jedynym kandydatem. Potrzebuję nowego głównego ochroniarza, kogoś, kto może być ze mną niemal bez przerwy. Oczywiście będziesz miał czas wolny, ale raczej będzie go niewiele. Praca wymaga podróży i mieszkania w moim średnim sąsiedztwie.

Kelner pojawia się i zabiera nasze talerze. Nie przynosi jednak deseru. Kładzie przede mną cienką skórzaną teczkę, następnie wręcza Markowi grubszą. Do mojej jest dołączony długopis. Drogi, śliski, w niczym nieprzypominający długopisów używanych przeze mnie podczas misji. Tamte były tanie, plastikowe i pakowane w pudełkach po dwadzieścia sztuk.

Otwieram teczkę, a Mark wyjaśnia.

– To umowa o zachowaniu poufności, zanim nasza rozmowa pójdzie dalej. To nie jest zgoda na nic poza milczeniem. To głównie sprawa grzeczności.

Grzeczności. To pięć stron subtelnych, zawołowanych gróźb prawnych. Ale służba w armii Stanów Zjednoczonych uodporniła mnie na groźby. Kiedy stawką może być sąd wojenny, dobrze jest trzymać gębę na kłódkę.

Zdejmuję skuwkę i podpisuję, obserwując, jak tusz spływa na papier.

– Cudownie – stwierdza. Bierze ode mnie teczkę i wręcza kelnerowi, nie patrząc na niego. Kładzie przede mną drugą, grubszą.

Otwieram ją i od razu się krztuszę. Witają mnie określenia takie jak „hak analny” i „tortury penisa i jąder”.

Spoglądam na Marka, który odpowiada mi spokojnym spojrzeniem.

– Teraz rozumiem, dlaczego najpierw kazałeś mi podpisać umowę o zachowaniu poufności.

– Nie sądzę, żeby zaskakiwało cię to, co się dzieje w klubie dla fetyszystów – kontynuuje. – Ale niezależnie od tego, lepiej, żebyś

wcześniej zapoznał się z możliwymi sytuacjami. Praca w moim zespole ochrony oznacza przebywanie wewnątrz Lyonesse i blisko moich... nawyków. Muszę znać twoje granice co do bycia świadkiem praktyk kink. I na ile są one elastyczne. Nie zawsze mogę przewidzieć, co akurat dzieje się w prywatnych pokojach, gdy przechodzimy korytarzem. Co usłyszysz lub zobaczysz przez okna. Co może mieć miejsce w łóżach wokół parkietu.

– A pańskie... nawyki? Sir?

– Byłbyś moim osobistym ochroniarzem – odpowiada, jakby odpowiedź była oczywista. – Nikt nie byłby bliżej mnie.

– Czy to naprawdę konieczne? – pytam. Rozglądam się po dachu pod pogodnym, błękitnym niebem. W naszą stronę zmierza kelner w gorskiej, niosąc talerze z czymś kolorowym i słodkim. – To miejsce służy do uprawiania seksu, prawda? Dlaczego miałyby pan być w niebezpieczeństwie, prowadząc klub dla ludzi uprawiających seks?

Szczęka Marka porusza się minimalnie, jakby zastanawiając się, przyciskał język do podniebienia. Potem wyjaśnia:

– Po pierwsze, fetysz i seks to nie zawsze to samo. Po drugie, masz chyba dość naiwny obraz seksu, skoro sądzisz, że sama jego obecność eliminuje ryzyko. A po trzecie, Lyonesse to szczególne miejsce. Zapraszamy jedynie sławnych i wpływowych, a opłaty za członkostwo przyjmujemy tylko w formie informacji.

Potrzebuję chwili, żeby to pojąć. A kiedy już rozumiem, czuję coś pomiędzy obrzydzeniem a podziwem.

– Płatność w informacjach. A potem używacie ich do czego? Do szantażu?

Mark unosi szklankę, gdy obsługa podaje desery. Nie sięgam jeszcze po łyżeczkę, tylko obserwuję, jak kręci drinkiem, a następnie bierze wyćwiczony łyk. Kelner odchodzi, a Mark znów kręci naczyniem.

– Tak, szantaż – przyznaje. – Czasami.

– Czasami.

– Szantaż to siekiera. Nawet największą i najostrzejszą nie osiągniesz tego, co zrobisz skalpelem. Mam o wiele lepsze zastosowania dla posiadanych informacji niż rozłupywanie kłód.

– Ale zarówno siekiery, jak i skalpele potrafią narobić wrogów.

– Dokładnie tak.

Podnoszę teczkę.

– Potrzebuję czasu, żeby to przemyśleć.

– Masz tydzień – odpowiada. On też nie tknął deseru. – Chcę, żebyś to był ty, ale nie mogę czekać dłużej. Niestety.





Kiwam głową i wstaję. On również. Ściska mi dłoń i znowu czuję, jak iskry biegną mi po nerwach. „Spragniony dotyku” – tak powiedziała terapeutka stresu bojowego po mojej ostatniej sesji. „Spragniony skóry”. Zaleciła, żebym przytulił ojca, kupił sobie zwierzę i pobrał aplikację randkową. Wtedy to zignorowałem, ale jeśli muszę złapać oddech po uścisku dłoni, to może rzeczywiście coś w tym jest.

– Dam panu znać – mówię, a potem schodzę w dół przez szklaną twierdzę Lyonesse z teczką pod pachą i głową pełną dźwięku jego widelca rozgniatającego skrzydła motyla.

SIĘGNIJ PO WIĘCEJ




**Papierowe
Serca**

-  Wydawnictwo Papierowe Serca
-  wydawnictwopapieroweserca
-  papieroweserca
-  papierowe_serca